ROK VII 3 PAŹDZIERNIKA 1926 R. Nr. 24

HARCERZ

::: TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ :::

DO PRACY.

Nareszcie.

Nareszcie po długich wakacjach, zbierają się znów gromady harcerskie wraz z całą rzeszą młodzieży szkolnej do zwykłej, codziennej pracy.

I nów gromadzić się będą zastępy, i hufce, znów w drużynach rozwijać się będą długie, gorące dysputy poza programową pracą i znów będą się zastanawiali wszyscy, jakie zadanie poza sprawnościami harcerskiemi postawić sobie specjalnie w bieżącym roku szkolnym, jako zadanie całej drużyny.

Niewątpliwie pomysłów nie zabraknie — a do tych wszystkich pozwólcie dorzucić jeszcze jeden, który jeśli nie dziś to jutro, czy za rok znajdzie jednak niewątpliwie wykonawców.

Pragnie harcerstwo wyrobić we wszystkich i w druhnach i druhach prawdziwą pogodę i wesele, pragnie, byście przez życie poważne z uśmiechem szli i niekłamaną radością. Wszystkim Wam podoba się to i niewątpliwie niema ani jednej osoby w wielotysięcznej gromadzie harcerskiej, któraby tego nie pragnęła.

Ale jeśli ta pogoda i radość nie ma być czemś odświętnem, czemś, co jak zbiórka, czy wycieczka jeno od czasu do czasu krasi szare życie ludzkie, w takim razie musicie przyzwyczaić się do radosnej pracy. Im wcześniej zaczniecie — tem lepiej.

Więc niechaj we wszystkich zastępach, w starszych i młodszych i nawet u najmniejszych biszkoptów przyjmie się zasada, że wszelką pracę wykonywa się z uśmiechem, z radością, choćby ona była najcięższa, choćby kosztowała dużo godzin i niemało potu.

Druhny i druhowie starsi wiedzą doskonale, bo mieli już możność doświadczyć tego, że niema wierniejszego przyjaciela i bardziej nieodłącznego towarzysza, jak praca. Przez całe życie będzie ona Wam towarzyszyła, na każdem miejscu i o każdej porze — aż do kresu dni Waszych, aż do śmierci.

Więc dlaczego nie mielibyście uśmiechem przyjmować tego towarzysza życia, gdy zjawi się, skoro i tak będzie z Wami, czy kto będzie chciał, czy nie.

Naturalnie nie osiągniecie tego, jeśli ograniczycie ów uśmiech tylko do prac harcerskich, do zadań, jakie Wam drużyna stwarza. Te traktujecie jako przyjemność — jedne z mniejszym, inne z większym zapałem, ale zawsze to tylko przyjemność.

Jeżeli zaś nauczycie siebie i swoich z uśmiechem spełniać robotę codzienną, czy ślęczeć nad książką, czy przy warsztacie stać, czy w dzień prześliczny słuchać lekcji w klasie — jeżeli tego się nauczycie i przyzwyczaicie się do takiego pogodnego uśmiechu, chociaż uginacie się ze zmęczenia, wówczas naprawdę wyrobicie

w sobie tę pogodę ducha, która zawsze i wszędzie będzie z Wami.

Zyskacie przytem jedną, ogromnie ważną dla Polaka rzecz: wytrwałość. Naród nasz podejmować ciężkie, bardzo trudne zadania umie — spełniać długo trwającą a ciężką robotę — to ponad siły zdaje się Polakowi. Ci zaś, którzy przyzwyczają się uśmiechem witać każdą pracę, zapoczątkują nowe pokolenie polskie: nie bojąc się trudów, zapragniecie ich nawet.

Pamiętać nam trzeba, że coraz silniej na całym świecie zaznacza się potężne znaczenie pracy, coraz wyraźniej widać, że na pracy i zdolności do niej opierać się będzie znaczenie każdego narodu i państwa.

Kto umiłuje pracę — ten panowanie zdobędzie nad światem.

Lecz zabierajcie się do tego zadania powoli. Nie odrazu, nie gwałtownie nakazujcie uśmiech przy pracy, lecz powoli, systematycznie. Szczególnie zaś w tych najmłodszych zastępach zacznijcie od zadania takich robót, które przez swą łatwość i przyjemność same wywoływać będą pogodny uśmiech, potem pilnujcie go, jak skarbu, przy robotach trudniejszych, których cel jednak wzbudzać będzie ów uśmiech, a w ten sposób przy planowej taktyce nauczycie tysiące harcerek i harcerzy, że przechowają ten uśmiech radosny aż na czasy dojrzałe i w ten prosty sposób wyrobią w sobie owo umiłowanie pracy, ową radość roboczą, której tak bardzo Polsce potrzeba.

T. Uhma.

Jan Kasprowicz.

1-go sierpnia b. r. w Poroninie, pod Zakopanem zmarł nasz największy współczesny poeta, Jan Kasprowicz. Wieść o tem wstrząsnęła jak gromem wszystkie serca polskie.

Poeta chory był od dłuższego czasu, a jednak wierzyć się nie chciało, wierzyć się wprost nie mogło, że ten mocarz ciała i ducha może się nie dźwignąć z ciężkiej choroby, że jego słowo potężne, a natchnione może zamilknąć na wieki.

Ktokolwiek choćby raz w życiu miał szczęście widzieć Jana Kasprowicza, widzieć tę postać herkulesowej, mocarnej budowy, tę głowę o wysokiem, sklepionem genjalnie czole, usłyszeć jego śmiech szczery, dziecinną wesołością dźwięczący i spojrzeć w mądre, dobre, a jednocześnie zawsze smutne, nawet w uśmiechu, oczy, ten nie mógł nie odczuć, że ma do czynienia z człowiekiem niezwykłej miary, z organizacją potężną, a wybitną. To był prawdziwy syn ziemi — ogromnej mocy ducha w niezwykle mocnem ciele.

Syn kujawskiej naszej ziemi. Urodził się w chacie małorolnego włościanina, w Szymborku pod Inowrocławiem, w 1860 roku. Sam też w szkółce wiejskiej pierwsze nauki pobierał. Rodzice na wyrobku z wielkim trudem zdobywać musieli środki na kształcenie syna. Od wczesnych też swych lat borykał się poeta z biedą, z trudnemi warunkami życia i nauki w ówczesnej szkole niemieckiej, do której wstąpił w Inowrocławiu po ukończeniu szkoły wiejskiej. Dzięki wybitnym zdolnościom i zamiłowaniu wiedzy, ale jednocześnie i żelaznej wytrwałości i pracy — borykał się zwycięsko. Szkołę ukończył,

a potem udał się na studja uniwersyteckie do Lipska i Wrocławia. Tam pracując w dalszym ciągu zawzięcie i utrzymując się o własnych siłach, bierze jednocześnie żywy udział w życiu młodzieży polskiej. Za należenie i działalność w tajnych stowarzyszeniach zostaje uwięziony i wreszcie po opuszczeniu murów więziennych przenosi się na stałe do Lwowa, gdzie poświęca się pracy dziennikarskiej. Jeszcze będąc na ławie szkolnej ogłasza drukiem swe pierwsze poezje o znamionach wybitnego talentu, świeżości natchnień i potęgi niezmiernej słowa.

Wśród codziennych szarych i ciężkich zajęć zawodowych, nie przestaje oddawać się pracy twórczej; najpiękniejsze jego liryki datują się z tego okresu; jednocześnie poważne studja nad językami starożytnemi pozwalają mu wzbogacać naszą literaturę mistrzowskiemi prekładami klasyków greckich i łacińskich i ksiąg mędrców i poetów indyjskich. W r. 1908 powołany zostaje na profesora literatury porównawczej we Lwowie. Nie opuszcza katedry aż do chwili swej choroby.

Otoczony jest bowiem taką miłością słuchaczów i kolegów, że, gdy już teraz w niepodległej Polsce, nowoutworzony Uniwersytet w Poznaniu upomniał się o syna swej ziemi—Lwów nie dał sobie zabrać ukochanego mistrza. U schyłku życia, trawiony ciężką wewnętrzną chorobą, osiada w Poroninie, w malutkim skromnym domku, Harendzie, własnym trudem i niełedwo własnemi rękoma zbudowanym; osiada u podnóża Tatr, których niebosiężne szczyty na wyżyny podgwiezdnych natchnień myśl jego prowadziły, nad górskim potokiem, co w poszumie swych srebrnych skrętów szeptał sercu poety ciche skargi ludzi nizin. Ten mały domek z ogródkiem, gdzie każde drzewko, każdy kwiat sadzone są ręką poety, były, jak sam mówi „ostatnią w życiu ostoją, gdzie wszystkie jego duszy tęsknice, na wieki wieków się ukoją". Tam też słabnącą już ręką (bo był częściowo sparaliżowany), skreślił ostatnie swe utwory: Księga Ubogich i Mój Świat, prześliczne w swej prostocie, a jednocześnie głębokie tą wielką mądrością życia. Twórczość poetycka Kasprowicza zakreśla ogromny łuk o rozpiętości prometejskiego wzlotu ku wyżynom, „gdzie granicą Stwórca i natura", aż do nachylenia się miłosnego ku ziemi dla szukania tajemnicy życia w malutkiem zdziebełku polnej trawy, lub krzaku dzikiej róży na dnie wąwozu górskiego. Z nizin wyszedł i pierwsze jego utwory przepojone są miłością dla tych właśnie nizin i wołaniem o sprawiedliwość dla nich. Lecz ten sam wielki prąd miłości kazał mu ogarnąć szerszy zakres ludzkich istnień, a myśl, pogłębiona ciągłą żądzą wiedzy, wysoką kulturą i usilną pracą cięga swym ostrzem do rozstrzygnięcia najzawilszych zagadnień bytu.

Dusza poety trawi się gorączką poznania, szarpie się bólem ogólnoludzkim, wybucha żalem, lub buntem wobec zła i jego przemocy, a jednocześnie poprzez ciężkie zmagania się chce dotrzeć do rdzenia ostatecznej prawdy.

W wielu swych utworach, jak Hymny, Ginącemu Światu, Moja Pieśń Wieczorna potęgą myśli i natchnienia wznosi się na szczyty myśli ludzkiej, staje w obliczu Boga, lub też schodzi w ciemnię lucyferycznych otchłani, słowa jego przenika potężny wiew genjuszu. W śpiżowe układają się dźwięki, ostrym rytmem brzmią twarde, zwarte strofy... Lecz ten filozof o potędze niezwykłego umysłu ma serce

dziecka — serce ludu naszego, z serdeczną głębią wiary i żywiołowem poczuciem piękna...

Z podniebnych szlaków natchnienia rzuca ku gwiazdom złotym „modlitwę cichą i bez słów“, tak rzewną i miękką i śpiewną, jak głos fujarki wiejskiej o świcie; lub pieśń skowronka nad szarą rolą; we mgłach wieczornych, co „idą ciche i perłowe by zamykać Tatry w swe ramiona i na piersi się kłaść Giewontowe“. chłodzi żarem myśli rozpalone czoło... z duszy przedtem bolem i zwątpieniem targanej płyną melodje cudowne w swej prostocie, czar i ukojenie niosące.

Całe bogactwo polskiego ducha, tego rdzennie polskiego, co w ostatnich pokoleniach po męce niewoli i niedoli rwał się ku wyżynom wolności — ciężką pracą i trwaniem zdobywając dla niej fundamenty wszystkie te siły przeogromne — wyraz swój znalazły w duszy wielkiego Syna kujawskiej ziemi. W obliczu Tatr cichy jego grób stać się musi krynicą wiary i mocy na długie, długie wieki.

Zofja Grzymałowska.

Moja podróż.

STARY WIOŚLARZ.

(Dalszy ciąg).

Po drodze mieliśmy jeszcze odwiedzić p. Stanisława Barcickiego, długoletniego członka naszego Towarzystwa, znakomitego wioślarza i żeglarza, a ponadto kochanego przez wszystkich druha i szanowanego dla właściwości jego charakteru. Barcicki bawił właśnie podówczas na wypoczynku letnim u rodziny swojej w Bobrownikach na prawym, wysokim brzegu Wieprza, wiedział o naszym przyjeździe i miał nas oczekiwać o 13-ej w południe. — Tymczasem wspomniana wyżej przygoda znacznie opóźniła naszą marszrutę i bez tego dość ciężką dla dwóch krótkich wioseł.—Po przebyciu 3-ch kilometrów od ujścia zastopowaliśmy na lewym brzegu rzeki przy wsi Skoki dla napicia się mleka. Nasze pojawienie się wywołało dość liczne zbiegowisko mieszkańców, którzy z ciekawością przypatrywali się nam i „Grażynie“ pod flagą W. Tow. W., mało znaną na tych wodach.

Odtąd aż do Bobrownik, t. j. około 7 kilometrów, mieliśmy bardzo uciążliwą drogę, wskutek konieczności mijania wielkiej ilości tratew na względnie małej szerokości nurtu. — Boć nawet musieliśmy łódź wyciągać na piasek w obawie zderzenia! — Nadto dzień się zrobił upalny i mój niewytrenowany, świeżo upieczony, wioślarz zaczął omdlewać, co zresztą jest normalnym objawem zbyt forsownego zapoczątkowania każdego sportu. Nie można było zmieniać się równomiernie i wypadło mi dłużej pracować na wiośle.

Wszystkie przytoczone okoliczności sprawiły, że posuwaliśmy się wolniej niż było przewidywane i zaledwie o 15 m. 30 przybyliśmy do Bobrownik, chociaż liczne wiatraki tej osady sterczały przed nami już na 1½ godziny przedtem.

Bobrowniki leżą na wyniosłym, prawym brzegu Wieprza, oddzielonym jednak od głównego koryta dość szerokiem pasmem łąk podmokłych, po-

przecinanych tu i owdzie zatokami i odnogami rzeki. — Jedną z takich odnóg, swoją małą łódeczką podciągnęliśmy się łatwo pod samą prawie wyniosłość Bobrownickiego wzgórza.

Pan Stanisław wprawnem okiem żeglarza i wioślarza dawno już nas spostrzegł i właśnie zbiegł na dół w chwili naszego lądowania.

Po wymianie „czołem" i serdecznem powitaniu zwróciliśmy się do niego z prośbą, aby ze względu na opóźnienie nasze i szmat jeszcze drogi do przebycia, zechciał przyjąć naszą wizytę tu na dole. — Ale nic z tego! nie chciał nawet słuchać o czemś podobnem. Któryż z wioślarzy oparłby się jego życzeniom? nietylko ze względu na wielkie zasługi sportowe, lecz i na mir, jakiego używał między bracią wioślarską dla swojej niezrównanej koleżeńskiej uprzejmości.

Tedy—poszliśmy, uporządkowawszy jak się dało naszą odzież, pokurczoną i wymiętoszoną, wskutek gwałtownego wyżymania i suszenia na gorącem słońcu.

W ślicznym, starym dworku czekał na nas wyborny obiad. Pozatem zawdzięczam Barcickiemu ocalenie mego zegarka przez naoliwienie zamoczonego mechanizmu, co nie dopuściło zapanoszenia się rdzy.

Przesło godzinę spędziliśmy mile w gronie rodziny Barcickiego, poczem przez całe towarzystwo zostaliśmy odprowadzeni na dół do łodzi. Panie w swojej bezgranicznej gościnności niezależnie od doskonałego, obfitego obiadu, zmusiły nas jeszcze do przyjęcia zapasów na drogę. — Ponieważ mieliśmy jeszcze własne, przeto spiżarnia nasza podróżna wzrosła do rozmiarów o wiele przewyższających istotną potrzebę.

Żegnani życzeniami pomyślnej podróży odpłynęliśmy w dalszą drogę o 16.40. — Przebyliśmy dotąd od ujścia 10 kilometrów w linji powietrznej zaledwie 4. Pozostało nam jeszcze zrobić do Koźmina, dzisiejszego celu naszej podróży, około 15 kilometrów, chociaż drogą jezdną nie liczą więcej niż 7. Za ścisłość podawanych odległości wodnych nie ręczę. Nikt ich przedewszystkiem ściśle nie wymierzał, a orjentacja osobista jest bardzo trudną i niepewną ze względu na gwałtowne zawijasy i ciągłe ostre zwroty niemal na każdym zakręcie nurtu.

Pomiędzy Bobrownikami i Podwierzbiem natknęliśmy się ponownie na linę promową, przy której jednak było trochę więcej roboty, ale już bez żadnych niespodzianek.

Od wsi Obłapy, położonej tuż za Podwierzbiem lecz na lewym brzegu rzeki, krajobraz ulega zupełnej zmianie. Zamiast dotychczasowych łąk i pastwisk stoi wysokopienny las sosnowy. Odbicie i cienie drzew nadają wodzie jakąś swoistą tajemniczość i niesamowitość. Wyobraźnia każe nam oczekiwać czegoś niezwykłego... pojawienia się może „niksów" i „wodnic", które nam otworzą zaczarowane podwodne zamki. Razem z zakrętami rzeki wijemy się poprzez głębokie cienie drzew, wśród bajecznej ciszy, mąconej tylko pluskiem naszych wioseł lub od czasu do czasu krzykiem żórawi i czapli, przyglądających się ciekawie z brzegów obcym najeźdźcom.

Gdyśmy wreszcie pod Sędowicami wychynęli z lasu, wionęło chłodem wieczornym i zmierzch zaczął zamazywać zarysy przedmiotów, a z ziemi podnosić mgliste opary. Cisza leśna ustępowała powoli coraz bliższym odgłosom ludzkiego skupienia. Ujadanie psów, porykiwanie spędzonego na noc z pastwisk bydła, bek

owiec, gęganie gęsi, okrzyki i nawoływanie pastuchów, wszystko to razem zlewało się w miłą, a dobrze nam znaną symfonję wsi polskiej.

Tymczasem światło coraz bardziej ustępowało zmierzchom, aż dopóki za Sędowicami bezksiężycowa noc nie rozświeciła swoich czarnych welonów nad wszelkiem żywem i martwem stworzeniem. Ciemności pochłonęły nas, wzmocnione jeszcze przez krzaki nadbrzeżnej olszyny. Kierowanie łodzią stało się bardzo utrudnione. Na Wieprzu jadąc w górę, trzeba się zawsze trzymać niższego, wypukłego brzegu o wolniejszym prądzie, przy wracaniu bacznej uwagi na prowadzenie łodzi w takiej odległości od niego, aby nie osiąść na licznych piaszczystych ławicach. Przeciwny brzeg zazwyczaj wysoki i wklęsły omywany jest przez głębszę wodę o bardzo wartkim nurcie, który wciąż przeskakuje z jednej strony rzeki na drugą. — Zaczęło się więc utykanie na mieliznach lub forsowne wydobywanie się z prądu. W dodatku mój kuzynek najzupełniej „zdechł", według terminu wioślarskiego; o jego wiosłowaniu nie mogło być mowy, a ze sterowaniem wcale nie umiał się połapać w ciemnościach. Prosiłem tedy, aby ster puścił wolno i zacząłem sam kierować łódź wiosłem, co okazało się nierównie pożyteczniejszem. Przy bacznej uwadze zawsze można było wyczuć zahaczenie o prąd i przerzucić się na drugą stronę. Pracowałem w ten sposób usilnie, nie mając najmniejszego pojęcia, jak długo może to trwać, to jest jak dalcko jeszcze do Koźmina.

(C. d. n.).

Zygmunt LORENTOWICZ.

Rzeczpospolita Rossoszańska.

(Ciąg dalszy)

Rossosze, 11 lipiec 1919 r.

Pomiędzy powstańcami jakieś nieporozumienie. Przyjechał dzisiaj Alimenko, naczelnik humańskiego powiatu, zamknęli się w kilku w kancelarji i słyszeliśmy jeno głośną rozmowę.

Nikolski wyszedł zdenerwowany. Klimenko wyjechał zaraz i z nikim więcej nie rozmawiał.

Przecie coś nie coś dowiedzieliśmy się. Robert niedarmo kręcił się około okien i drzwi — zresztą on jeden z nas wszystkich zajmuje się polityką zewnętrzną, t. zn. sprawami nie związanemi bezpośrednio z naszem państwem.

„Bo, widzicie" — tłumaczył, — „Klimenko to zawzięty „samostijnik" ukrainiec, pragnący przez powstanie uczynić dywersję Petlurze i chce porwać się z okolicznemi wsiami na Humań, zdobyć go i przez to część wojsk bolszewickich odciągnąć z petlurowskiego frontu.

Nikolski i Steciura są temu przeciwni i uważają, że szkoda sił i krwi, a małe szanse utrzymania miasta; radzą czekać chwili jeszcze stosowniejszej. Oni jako oficerowie armji rosyjskiej są denikinowcami i gotowi czekać na Denikina, który podobno już idzie z południa Rosji. I to z tego powodu nieporozumienie z nimi".

W ten sposób Robczyk wytłumaczył nam jasno powód głośnej rozmowy przy zamkniętych drzwiach kancelarji.

Aliści nie koniec na dzisiaj poważnych rozmów i dyskusyj. Oto druga zażarta rozprawa zaczęła się po takiem odezwaniu się Zosi:

„Musimy się zastanowić jednak nad tem, czy my możemy być tak weseli i bawić się wesoło, gdy wokoło nas wojna“!

Temat ciekawy. Dyskusja długa. Rezolucja ostateczna następująca: nie będziemy starali się zabić naszych humorów. Tyle jest słońca, że nie możemy iść przeciw naszej młodości. Starsi, nasi rodzice, są tak zgnębieni obecną sytuacją, iż nasze humory każą im często zapomnieć o wszystkiem i wierzyć w naszą młodość i siły. Nie mają nam za złe tych zabaw, przeciwnie — jak mogą, tak nam ułatwiają jeszcze pogodny nastrój. Pracujemy po osiem godzin dziennie, bardzo solidnie, zarabiamy, a więc obowiązek pracy spełniamy, a ponuremi twarzami nie pomożemy nic, ani naprawimy.

I oto za chwilę, po powzięciu powyższej rezolucji, siedzieliśmy już na stopniach tarasu, malowniczo ugrupowani w świetle księżyca — i płynęła piosenka w ciemny park, odbiła się o błyszczącą szybę pierwszego stawu i poszła w stepy:

„Oj, ty, Haniu, moja Haniu
„Ty krasawica moja
„Szo zrobyła ty somnoju
„Szo teper ni k czortu ja.

Dnia 13 lipca.

Mieliśmy dzisiaj godzinę porządnego strachu w nocy. Powstańcy, jak zwykle spali w niebieskim saloniku. I my, zmęczeni pracowitym snem po zwykłych zajęciach położyliśmy się spać.

Wtem, koło północy rozległo się gdzieś w pobliżu kilka pojedyńczych strzałów, a potem już bezładna i ciągła strzelanina. Echo pomnażało wielokrotnie każdy odgłos i zdało się, że dwór ze wszech stron jest zaatakowany. Nie zapalając świateł, powychodziliśmy na korytarze i wykańczając po drodze garderobę, zbieraliśmy się w starej części dworu, gdzie są grube mury. Zęby szczękały z zimna i emocji. Ogień karabinowy nie ustawał, — zdało się, że cały park grzmi wystrzałami.

Poszedłem poomacku do niebieskiego saloniku, zobaczyć co się dzieje z powstańcami.

Drzwi na taras były otwarte i na jasnej plamie księżycowego światła zobaczyłem wysoką sylwetkę pułk. Nikolskiego. Wychodził na balkon, niosąc w jednej ręce karabinek, a w drugiej siodło.

— „Panie pułkowniku, co to jest“? — pytałem. — „Nie wiemy sami. Idę do koni, to jakieś nieporozumienie chyba; uspokójcie się, zaraz powinno się wszystko wyjaśnić: Steciura i Melnik są już pewno w Udyczu“ — i znikł w krzakach bzu tuż za dworem.

Wróciłem do korytarza. Mała lampka, schowana za drzwiczkami szafki, rzucała fantastyczne cienie na te grupki rozmawiających szeptem ludzi. Jadzia Janowska popłakiwała ścicha, w obawie o ojca, który razem z powstańcami musiał uciekać w razie przyjścia bolszewików.

Tysiące przypuszczeń cisnęło się do głowy.

Czyżby bolszewicy dowiedzieli się o tem, że sztab powstańców spi dzisiaj w Rossoszu!?!

No, to z nami będzie krucho!

Przecie po pewnym czasie strzały zaczęły przycichać i ostatecznie zupełnie umilkły.

Zaczęliśmy rozchodzić się po ciemku po pokojach, by uzupełnić na wszelki wypadek garderobę i ubrać się cieplej. Nie wiadomo, co nas czeka za chwilę.

Wtem od strony dziedzińca skrzypnęły drzwi.

„Dajteż światło“ — usłyszeliśmy głos pana Steciury: „ja nyczoho ne baczu“. Pobiegliśmy wszyscy w tamtą stronę. Zapalono świecę i w jej blasku ujrzeliśmy wesoło uśmiechniętego pana Steciurę, w bronzowej świtce, bosego, z karabinkiem w ręku.

— „Ja buł w nastuplenii“*)! — żartował. Zasypany pytaniami opowiadał, co się stało.

Posterunki udyckiej samoobrony („Ochrana“), stojące naprzeciw „Chutorku“ zauważyły w nocy podkradających się złodziei pod magazyn fabryczny i zaczęły strzelać. Inne warty, nie wiedząc, o co chodzi pomagały im również strzelaniną.

„Złodzieje uciekli, zresztą nie jest dowiedzione, czy tam wogóle kto był. Strach ma wielkie oczy, szczególniej w nocy“ — opowiadał pan Steciura.

Humory się poprawiły, dopiero teraz zauważyliśmy wielkie niedociągnięcie w garderobie — i posypał się cały szereg dowcipów, zwłaszcza, iż rozeszła się szybko wieść o tem, że Jaś, stojąc na posterunku w Udyczu, jako dzielny obrońca fabryki, chcąc znaleźć ochronę przed przypuszczalnemi kulami wpadł do jamy z „żomem“*).

„Rossoszanin“ będzie miał materjał do satyry!

*) Byłem w ofenzywie!

16 lipca.

Przyjechali dzisiaj „Pohorylacy“— z Humania. Jechali dość dziwną drogą na Gromy, Sinicę i Ositnę, chcąc koniecznie przejeżdżać przez rodzinną Pohorylę. Są to synowie pana Serafina Brzozowskiego, urodzeni i wychowani w Pohoryle. Jest ich trzech: Jerzyk, Benuś i Zbyszek. Przyjechali na kilka dni, dowiedziawszy się jakimś sposobem, że u nas tak wesolo i spokojnie.

Wieczorem jak zwykle zebraliśmy się w salonie. Pan Steciura skompromitował się trochę, nie mogąc złamać podkowy, którą moja siostra gdzieś na folwarku znalazła.

Kończymy na gwałt pierwszy numer „Rossoszanina“; — naprawdę zapowiada się dobrze.

Próby przedstawienia amatorskiego rozpoczęły się i zabierają nam wiele czasu. Najczęściej odbywają się w t. zw. „ogródku Zosi“ lub w niebieskim saloniku.

Zawsze jest u nas wesoło i czasem, gdy się pomyśli nad sytuacją, jaka wytworzyła się wokoło nas na całej Ukrainie, to dziwnym staje się fakt takiego spokoju tutaj w Rossoszu.

Tłumaczymy sobie, jak możemy, to nasze wyjątkowo szczęśliwe położenie: oto Rossosze leży zdala od ważniejszych traktów ukraińskich, wieś oddalona od dworu o dwa kilo-

*) żom — sfermentowane pozostałości z buraków po odciągnięciu cukru, używane na pokarm dla bydła, odznaczają się specyficznym zapachem.

metry, dwór schowany w starych, ogromnych świerkach niewidoczny wcale, a przytem opinja głosi, że tutaj znajduje się sztab powstańczy.

Nic więc dziwnego, że małe oddziałki bolszewików omijają te ciemne kępy świerków, jar i trzynaście długich, zarośniętych stawów.

Na większą ekspedycję nie mają sił, nie chcąc osłabiać punktów przykolejowych.

I tak żyjemy pośród tych kęp zieleni soczystej w białych ścianach Rossoszańskiego dworu, z wiarą w jakąś wyjątkową opiekę Bożą nad nami i nad tym domem w żdziczałym parku.

Jedno jest wytłumaczenie: jesteśmy młodzi.

Porozwijały się krzaki róż pod oknami, dojrzewać zaczynają niektóre gatunki owoców, poczerwieniały pomidory, żniwa na dobre rozpoczynają się już — a my na tej wyspie zielonej pośród złotego od zbóż i ścierni stepu, żyjemy życiem tych róż kolorowych, które muszą kwitnąć, gdy przyjdzie ich czas.

Bo trudno jest i mówić o tem, jakie to jest życie. W domu spędzamy jeno wieczory, gdy pułkownik Nikolski gra lub gdy tańczymy — i wtedy tylko nakładamy obuwie, a cały dzień jesteśmy bosi, ubrani bardzo nieelegancko, sami pierzemy sobie bieliznę w stawie, sami sprzątamy, łatamy ubrania, naprawiamy obuwie — a przecie jest jakiś urok w całem życiu; przywiązujemy się coraz bardziej do tego parku i tych ścian i rozkwitamy wesołością beztroską.

25 lipiec.

Nic nam nie mąci naszego życia. Powstańcy zjawiają się i znikają na kilka dni. Czasem są w dobrym humorze i p. Steciura bawi się z nami przed tarasem w „ostatnia para naprzód“, — czasem zdenerwowani i źli, zamykają się w kancelarji i radzą.

Wczoraj przyjechał z nimi wysoki, przystojny oficer, który przedstawił się nam jako Musiałowicz, mówił bardzo mało, za to ślicznie tańczył. Różne domysły i wieści o nim krążyły. Mówiono, że jest to jakiś książę rosyjski, to znów, że Polak i obywatel z Ukrainy, ukrywający się pod pseudonimem.

Wszystkim się bardzo podobał i zrobił dobre wrażenie pomiędzy panienkami.

W niedzielę zaprosiliśmy wszystkich znajomych z cukrowni i wszystkich mieszkańców pełnego już dzisiaj dworu (Samej młodzieży jest nas czternaście osób!) — i odbyło się wspólne głośne czytanie pierwszego numeru „Rossoszanina“. Ukazał się on, coprawda, w jednym tylko egzemplarzu — ale za to jak bardzo ozdobnym! Nadspodziewany sukces. Bezstronnie przyznać trzeba, że całość wypadła bardzo dobrze, a kuplety i wierszyki, opiewające nasze prace, różne wypadki, bohaterstwo Jasia, powstańców były bardzo dowcipne i żywe. Redakcja strasznie dumna — i ma nadzieję, że następny numer będzie jeszcze lepszy.

30 lipca.

Część z pośród nas jeno pracuje teraz na selekcji — roboty kończą się. Zato próby naszego przedstawienia odbywają się teraz codziennie i wkrótce będziemy mogli „wystawić naszą „sztukę“.

Do Udycza zwaliła się na kilka dni banda powstańcza Sokołowa, grasująca w Tepliku, gdzie nawet bardzo dokładnie przeprowadziła rzeź Żydów.

Po ich przyjeździe do Udycza, pracownia ślusarska cukrowni zmieniona została na zakład rusznikarski, który poprawia karabiny, kulumioty i właśnie dzisiaj ukończono naprawę jedynego działa, które banda z sobą wozi. Dla sprawdzenia i zadokumentowania posiadania tak ważnej pomocy bojowej jak artylerja, strzelili w nasyp za folwarkiem. Uprzedzeni przez „naszych" powstańców, nie przeraziliśmy się wcale.

Byliśmy nawet w cukrowni pod opieką Steciury i Kursenki, który strasznie wywraca oczy w kierunku mej siostry Lenki, niemniej przerażonej tym wyrazem uwielbienia, jak zjawieniem się dzikiej bandy.

Strzeż mię, Panie Boże przed takim szwagrem!

Oto łazimy po fabrycznych warsztatach, a w głowie szuka się podobnego obrazu: gdzie to już tak kuźnie zamienione były na fabryki broni? — przecie takie wypadki już były i my je znamy!

Aha! prawda, to przecie było podobnie w 63-cim roku!

— I coś, jakby nić sympatji zawiązywała się pomiędzy nami i tą bandą.

Rossosze, 2 sierpień.

Pierwszy raz dzisiaj otarła się o białe ściany dworu wojna. Zmącił nam ten wypadek pogodny zwykle nastrój dnia całego.

Siedziało nas kilka osób po obiedzie w salonie. Powtarzaliśmy role. Nina „dobierała" coś przy pianinie, Władek z wyciągniętym językiem, co znamionowało u niego wysiłek twórczy, malował pohorylski pałac na okładce drugiego numeru „Rossoszanina".

W tem przez drzwi od jadalnego pokoju wszedł pan Steciura, rzadki gość o tej porze we dworze i zrzucił z ramion na dywan ciężki napełniony do połowy worek, z którego wysypały się gazety, broszurki, książeczki i kalendarzyki w języku rosyjskim i ukraińskim.

— „Co to jest? Co się stało"? — posypały się pytania. We drzwiach ukazał się pułkownik Nikolski:

„Zabiliśmy szpiega bolszewickiego, to jest bibuła komunistyczna, którą roznosił i po wsiach rozrzucał, a to jego dziennik, którego nie zdążył zniszczyć", — mówił pułkownik, pokazując nam niebieski gruby zeszyt: — „był on zarazem agitatorem i podburzał ludność przeciwko nam. Musieliśmy go zabić. Proszę sobie to przejrzeć i jeżeli będzie się coś podobało państwu z tych gazet, to możecie sobie zatrzymać, a resztę radzę zaraz spalić, bo gdyby bolszewicy to u was znaleźli było by z wami źle".

Dopytywaliśmy się o szczegóły egzekucji.

— „Tak, poprostu" — opowiadał pan Steciura: „wzięliśmy go na wóz z Kursenką, zawieźli pod las pohorylski. Kursenko z nim wyszedł, ja trzymałem konie. Kazaliśmy mu się przeżegnać i zmówić pacierz, on ręce Kursenki całował i błagał o życie, a w ostatniej chwili zaczął uciekać — ale ubiegł jeno kilka kroków, Kursenko dobrze strzela z karabinu, w samo serce trafił".

Pan Steciura skończył swoje opowiadanie takim zwyczajnym tonem, jakby opowiadał o zabiciu zająca i uśmiechając się wyszedł za pułk. Nikolskim z pokoju.

(D. c. n.).

———

Harcerstwo na Zjeździe Katolickim.

W ostatnich dniach sierpnia odbył się w Warszawie olbrzymi zjazd organizacyj katolickich, który był zakończeniem uroczystości, związanych z przeniesieniem relikwij św. Stanisława Kostki.

Organizacja nasza wzięła w nim czynny udział zarówno w uroczystościach przyjęcia relikwij na przystani koło mostu Kierbedzia, jak i w samych obradach.

Drużyna reprezentacyjna i przedstawiciele Komendy i Naczelnictwa zebrali się na oznaczonem miejscu, aby — jak to ułożono z Komitetem, organizacyjnym uroczystości — otoczyć kordonem harcerzy trumnę ze świętemi szczątkami Tego, Który jest patronem polskiej młodzieży. Niestety—marynarze, którzy przybyli wraz z relikwjami na statku z Płocka, wysiadłszy na brzeg, oddzielili nas od trumny i mimo naszych protestów uniemożliwili nam spełnienie zaszczytnego obowiązku, straży honorowej przy trumnie Świętego.

Mimo tego zawodu wytrwaliśmy aż do końca pochodu we wzorowym porządku, a św. Stanisław Kostka z pewnością błogosławił nam z nieba, widząc, jak młodzież — taka sama wiekiem, jak On niegdyś, kroczy w powadze i skupieniu, i modłami swemi błaga za Jego pośrednictwem Boga o szczęście i lepszą dolę Ojczyzny.

Wśród powitalnych przemówień na Zjeździe nie było przemówienia Władz naszych — ale wytłumaczono nam ze strony Komitetu, że tylko zagraniczne organizacje wygłoszą je.

Za to na sekcji Wychowania Młodzieży bardzo ożywiona toczyła się dyskusja, w której od nas zabierali głos dhowie księża Bogdański i Szczerbicki. W wyniku obrad uchwaliła Komisja przedstawić zjazdowi wniosek, mocą którego Zjazd Katolicki w Warszawie uznał za celowe i pożądane, jak najsilniejsze popieranie Związku Harcestwa Polskiego i akcji, jaką na terenie drużyn prowadzą dhowie księża kapelani.

Taka uchwała zjazdu będzie miała niewątpliwie duże znaczenie, gdyż z jednej strony szerokie warstwy społeczeństwa poczują się jeszcze bliżej naszej gromady i harcerstwo samo śmielej i wyraźniej będzie wyglądało żywej pomocy od duchowieństwa, które w całym szeregu chorągwi tak bardzo wydatnie i serdecznie z nami współpracuje.

Gdy ojczyzna wezwała harcerzy huf.

(Pamięci tych Harcerzy, co padli za Polskę).

W rocznicę Cudu Wisły — „Harcerz" nie wychodził z powodu przerwy wakacyjnej. Dlatego dzisiaj dajemy tych kilka słów wspomnienia, będących nieznacznym wyrazem czci, jaką wśród harcerzy owiane są postaci poległych Druhów.

REDAKCJA.

"Ci co polegli w walce nie giną,
Lecz drugiem życiem z martwych
[ocknięci,
Wiek po wiek żyją w ludzkiej
[pamięci".

Uderzył grom! Stolica zagrożona!
Warszawa, serce Polski! Do broni,

hej do broni! Wraża nawała hord bolszewickich prze z niepowstrzymaną siłą na mury „Syreniego Grodu". Obrońcy giną — krew się leje. Ojczyzna woła w krytycznej chwili: „Harcerze do boju! Poświęćcie swe siły młode i życie dla świętej sprawy! Stańcie w szeregach obrońców".

— Do boju! do boju! do boju!

— Stanęli. Dwadzieścia jeden tysięcy młodych Orląt — Harcerzy stanęło na pierwszy zew zagrożonej Ojczyzny: sześć tysięcy na front w pierwszych szeregach, piętnaście tysięcy do służby wywiadowczej i pomocniczej. — Stanęli i godnie spełnili swą powinność. Zadziwili swem męstwem kraj. Porwali za sobą całą młodzież polską. Świecili przykładem w boju, idąc w pierwszych szeregach na pierwszy ogień, brawurą swą niejednokrotnie powstrzymali odwrót wojsk swoich, a uderzając na wroga, pociągali za sobą wojsko. — Czytamy w dziennikach z roku 1920: „... oto oddział złożony z 30 harcerzy śmiałym kontratakiem na bagnety odrzuca nacierające kolumny nieprzyjacielskie i tem brawurowem wystąpieniem powstrzymuje cofające się w nieładzie własne wojska i zmusza je do rzucenia się z zaciętością na fale bolszewickie ...."

To jeden z wielu przykładów.

Na barykadach Warszawy harcerze u boku naszej armji długo i zacięcie zmagali się bohatersko z nawałnicą bolszewicką. Aż nadszedł wielki dzień: Cud Wisły. Wody wiernej rzeki wzburzyły się falami krwawemi. Ta strażnica stolicy nie przepuściła przez swoje nurty dzikich hord sowieckich, śmierć im gotując. — Stał się cud: armja czerwona cofała się. Polska cała ruszyła się, prąc naprzód i naprzód i naprzód. — Wielka pieśń zwycięstwa uniosła się nad krainą polską, bo oto wróg, który niósł jej zagładę straszną a sromotną, teraz odparty uchodzi ku wschodnim rubieżom, zostawiając po sobie krwawe ślady mordów i przekleństwa. — A młódź polska idzie naprzód — niepowstrzymanie, aż zatrzymała się na granicach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. — Poprzez całą Polskę radosny jeden leci okrzyk: „Oto dziś dzień krwi i chwały!" — a u ołtarzy naród cały na kolanach korzy się przed Najpotężniejszym i modły zanosi: „Te Deum laudamus", a błaga: „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie".

A harcerze, spełniwszy obowiązek krwi, stanęli do pracy w szkole, by dać Ojczyźnie ludzi mądrych i wielkich. Dali świadectwo czynem potężnym, że czuwali i że czuwać będą i gdy znowu surmy bojowe wezwą na czyn, oni pierwsi ze swych stanic roześlą wici: Do boju!

Tadeusz Kleszczyński.

DZIAŁ TECHNICZNY.

Sprawność Śpiewaka.

Jedną z najmilszych i najbardziej istotnych cech harcerskiego życia jest śpiew, potężna jak surmy bojowe, w spazmy śmiechowe lub łzy rozrzewnień brzemienna piosnka harcerska.

Kto zna prawdziwe, serdecznym śmiechem tryskające ogniska obozo-

we, nie potrafi sobie wyobrazić sympatyczniejszej chwili nad tę, w której jakiś miły, a kudłaty „Wielki Ryczywół“ grzmotnie suchą chojarą w płonącą „watrę“ i wrzaśnie:

— Wiara? Możebyśmy se tak co ryknęli? He?...

Jakbyś ukropu wlał „potworom“ w okolicę serca — wyszczerzą z uciechy zębiska i hukną, aż się echo rozniesie:

„W murowanej piwnicy, tańcowali zbójnicy.
Kazali se piknie grać i na nóżki spozirać!
Hej... Smyk“!

Co goretsi „hipkają“ dokoła ogniska, a reszta im śpiewa tak siarczyście, że ludek wsiowy zbiega się z oddali „pożreć“ co za watra

„... na polanie się pali,
Cy się grzejom dziwożony
Cy jom djascy skrzesali“?

...a leciwe mieszkańcy kniej wychylają głowy, żali to nie wybiła dla ludzkości godzina szczęścia?

Raz, siedząc przy takiem ognisku, zachwycony pięknemi głosami śpiewających druhów, zapytałem, czemu nie uczynią jakiegoś trwałego i wielkiego chóru na pożytek i na chwałę harcerskiego ludu.

— Niema się tem kto zająć — odrzekł ktoś bezwstydnie .

— Ciekawe! A ilu macie śpiewaków ze sprawnością?

— Ze sprawnością śpiewaka? Nie wiem, żadnego, mówi zdziwiony „Ryczywół“.

— Czuwaj! — wykrztusiłem jak największe przekleństwo i ulotniłem się, ze smutkiem rozważając brak tak pięknej i potrzebnej u nas sprawności, potępiając zaniedbanie szkolenia głosu, tego najbogatszego daru natury i ignorancję najszlachetniejszej gałęzi ludzkiej kultury. „Pepiki“ albo Włosi to „ludi kulturalny „potentaci ducha“, bo ledwie siedmioletni Adolcio Riczi lub Wrzeszczi, zacznie wydawać baranie okrzyki, zachwycona „mamina“ i pełen podziwu „papino“ oddają go w ręce umiejętnych oprawców, którzy po czterdziestu latach robią z niego „artystę — wirtuoza“.

A u nas? Mnóstwo materjału, a gdzie pracownicy? W Harcerstwie?

Pocieszył mnie wkrótce kochany „czuwajski“ ludek, bo kupka kocmołuchów przyszła się pytać, co też trzeba umieć i co trzeba r o b i ć, aby uzyskać sprawność śpiewaka.

Raźniej mi się zrobiło na żołądku (doświadczenia obozowe wskazują, że żołądek jest siedliskiem pogody harcerskiej), to też postanowiłem wespół z jednym zawodowym „kociokwikiem“, opracować króciutko sprawność śpiewaka, według programu „Harcerstwa“ (Tom II), a w dodatku pieśniowym podać kilkanaście partytur, by ułatwić pierwsze kroki harcerskim chórom..

Na marginesie proszę, wszystkie druhny i druhów, którzy wiedzą, że sprawność śpiewaka nosi się nie „na rękawie“ lecz w sercu i na ustach, by zechcieli różne piękne, a oryginalne pieśni „harcerskiej natury“ przesyłać z n u t a m i pod adresem: B. A. C. A. Kraków, ul. Siemiradzkiego l. 35, parter, celem rozpowszechnienia.

B. A. C. A.

Co SŁYCHAĆ w Z. H. P.

Pojedynek.

Artykuł D-ha „Bakchusa" p. t.: „Pojedynek wśród Gromady Instruktorskiej" ponownie przekonał naszą Gromadę, iż hasło rzucone przez nią nie przebrzmiało bez echa, lecz coraz to częściej spotykaliśmy na ten temat rozmowy, artykuły, dyskusje i t. p. Nie obca nam jest wiadomość, iż jedna z drużyn warszawskich zakupiła parę dolarówek, iż kilka warszawskich drużyn zbiera systematycznie 5-cio groszowe składki miesięczne od członków, a chociaż wniosek „Gromady Słoni 39 W. D. H.", który był rozpatrywany na Walnym Zjeździe w Krakowie, upadł, jednak pozostawił po sobie ślad, a mianowicie NRH upoważniła Naczelnictwo do powołania Komisji Budowy Związkowej Stanicy, a nakoniec pojedynek wśród Gromady Instruktorskiej i młodzieży Harcerskiej, zapoczątkowany przez znanego w harcerstwie szermierza czynu, nie zostanie chyba przez osoby wyzwane pozostawiony bezowocnie.

W artykule tym Druh podharcmistrz Stanisław Lange wzywa 39 Warszawską Drużynę Harcerską do zapoczątkowania pojedynku wśród braci harcerskiej.

W odpowiedzi na to w imieniu 39 W. D. H. zobowiązuję się przesyłać na rzecz budowy Stanicy po 5 groszy miesięcznie za każdego chłopca w drużynie, oraz wyzywam drużyny 1, 2, 3, 4, 6 — 7, 8, 13, 15, 20 Warszawskie 7, 13 Wileńskie, 4 Bydgoską, 14, 15 Poznańskie, 1, 2, 3 Lwowskie, i cały Hufiec Łomżyński do uczynienia tegoż samego, oraz do wyzwania innych drużyn, które same do pojedynku się nie zgłoszą (nazwijmy je tchórzliwemi drużynami), oraz zwracam się do 19 Żeńskiej Drużyny w Warszawie, aby zapoczątkowała pojedynek wśród drużyn żeńskich.

Kilkakrotnie już o tem pisałem, lecz powtarzam jeszcze. Gdyby wszystkie Druhny i Druhowie zobowiązali się płacić 5 gr. miesięcznie na budowę Stanicy, to bez żadnego wysiłku zebralibyśmy miesięcznie 1,765 zł., rocznie zaś 21,180 (licząc w ZHP 35300 członków) bez Kół Przyjaciół.

Suma całkiem pokaźna, wynosząca około 25% wogóle przewidywanego dochodu NZHP.

A więc HARCERKI!
HARCERZE!

Odstąpmy od zasad Harcerskiego Kodeksu Honorowego.

Skrzyżujmy szpady, i spróbujmy się.

Warszawa — Poznań — Wilno — Kraków — Łomża i t. p. miasta większe i mniejsze.

Kto zwycięży?

Czuwaj!

drużynowy 39 W. D. H.

Z Jarocina.

Zapewne niewielu druhów i druhen wie o tem, że do niedawna w naszym sławnym grodzie nie było ani śladu hufca harcerskiego, a tylko takie sobie... ot luźno pracujące drużyny.

No... ale ponieważ w każdem mieście (choćby tylko z przeznaczenia) znajduje się jakaś przedsiębiorcza jednostka, więc i u nas różne takie aktywne indywidua postarały się o założenie hufca... Wkrótce też ciekawe biszkopciki wyszperały skądś wiadomość, że komenda hufca ma zamiar urządzić obóz całego hufca (wprawdzie krótki), a zarazem wielką rewję. Tym razem biszkopty się spisały, bo wieść okazała się prawdziwą.

Zawrzały zaraz gorączkowe przygotowania w 4-ch drużynach tutejszych, bo każda chciała pokazać swój stopień sprawności. Każda z nich w cichości przygotowywała swoje plany i programy, które według ich zdania miały im napewno przynieść mistrzowskie miejsce w hufcu. Dwie drużyny (II i IV) szyły sobie na gwałt proporce, aby godnie wystąpić na uroczystość.

Nareszcie nadszedł czas wyznaczony (1 — 3 maja). Wszystkie drużyny, zabrawszy swoje namioty i inne mniej lub więcej potrzebne bagaże, poszły na piękną, zieloną polanę, prawie na końcu miasta, gdzie ,,ważni" wyznaczyli miejsce na obóz. Harcerzyki zwinęli się prędko, tak że w niedługim czasie stanęło na polanie kilka namiotów (włączając w to namiot dla komendy), maszt sztandarowy, ogrodzenia i różne ozdobne bramy. Zapał wśród druhów był ogromny, tak, że ludzie aż się dziwili szybkości i sprawności z jaką rozbito obóz. Tego dnia wieczorem dh. hufcowy uroczyście otworzył obóz, a po ognisku i modlitwie wszyscy rozeszli się do swych namiotów.

Cisza nocna ogarnęła swemi miękkiemi uściskami ziemię, a z nią nasz obóz i zmęczonych pracą harcerzy. Jedynie warty nie spały, dzielnie czuwając.

Dzień następny wstawał piękny i pogodny, jakoby zapowiedź wielu jeszcze miłych chwil, które nasi harcerze przeżyją w swym obozie. Dnia tego, po śniadaniu, drużyny z proporcami i rodzicami chrzestnymi dwóch nowych proporców, maszerują raźno do kościoła na nabożeństwo. Po mszy św. nastąpiło uroczyste poświęcenie proporców, a potem ksiądz prefekt wygłosił wzruszającą przemowę o zadaniach i celach harcerstwa, oraz o potrzebie wspomagania go.

Po skończonej uroczystości powrócono do obozu, gdzie odbył się przegląd hufca przez dha hufcowego i uroczyste przyrzeczenie kilkunastu harcerzy. Tego samego dnia odbyło się ulepszanie obozu i przygotowanie materjału do pokazów, mających się odbyć nazajutrz.

Dzień 3-go maja, będący wielkiem świętem narodowem, wstawał zimny i ponury. Mimo to (bo u nas zmarźlaków niema) drużyny brały udział w uroczystem nabożeństwie polowem i w pochodzie po ulicach miasta. Dopiero po południu przystąpiono do popisów. Na teren obozu nadchodziło i nazjeżdżało się ludzi co niemiara. Wszyscy oni z wielką ciekawością przyglądali się nam i naszym pracom.

A było się czemu przyglądać, bo czego tam też nie było! Paru druhów ustawiło się na murze i sygnalizowało, inni robili roboty pionierskie jak mosty linowe i drabinki (po których nikt nie schodził, kto chciał jeszcze żyć), nasza znów drużyna zbierała różnych nieszczęśliwców poranionych i połamanych (nieszkodliwie), ,,Łapiduch" opatrywał ich, a jego pomocnicy odnosili ich na noszach, sporządzonych z trzech rowerów. Grano również w różne gry arcypocieszne, uprawiano zawody lekkoatletyczne, a nawet nie brakło różnych humorystycznych kawałków, jak np. gramofonu (w naszej drużynie, opiewający przygody przeróżne żydków i dziadów częstochowskich. Jeden druh wlazł w skrzynię i na trąbie od gramofonu wyśpiewał piękne i mniej piękne arje. Niektóre drużyny bawiły się podrzucaniem gości na kocach, co się wszystkim bardzo podobało. Nie brakło oczywiście śpiewów i muzyki. Była też wystawa prac harcerskich poszczególnych druhów, która głównie interesowała ludzi starszych. Działała także pracownia fotograficzna przy naszej drużynie.

Wszystko to bardzo się podobało obecnym, którzy z wielkiego rozczulenia pootwierali swe obfite kasy. Hufiec nasz urządzeniem tego obozu przyczynił się w wielkim stopniu do szerzenia propagandy na rzecz harcerstwa, a nadewszystko zostawił miłe wspomnienia minionych chwil w duszach wszystkich harcerzy jarocińskich.

,,Zapałka". III. Jar. D. H.

Zlot Hufca Częstochowskego w Herbach Polskich

Dnia 26, 27, 28 i 29 czerwca b. r.; odbył się Zlot Hufca Męsk. Częstochowskiego w Herbach Polskich. Ogółem brało w nim udział 120 chłopców, pod komendą dha Pelca Gabryjela, przy współpracy oboźnego Opałki Włodzimierza i członków Komendy Zlotowej druhów: Nowaka Józefa, Paszczewskiego Juljana, Nabiałka Marjana i Nowosielskiego Edwarda. Zawody lekkoatletyczne przeprowadził druh Nurczyński Witold. Przez cały czas trwania Zlotu, komisje prób na stopnie i sprawności, złożone z wymienionych druhów oraz przy współpracy dha Niemierki Juljana, pracowały bez wytchnienia. Dnia 27 czerwca zwiedzająca publiczność oklaskiwała 9-ą drużynę kat. „C", która dawała szereg produkcyj pod sprawną ręką dha przodownika A. Poliszewskiego. (Jednocześnie muszę nadmienić jeszcze o 9-ej drużynie, której publiczność wyraziła wielkie uznanie za smaczny barszczyk i paszteciki).

Rezultaty 4-dniowego pobytu na zlocie nie były nikłe. Chłopcy nabyli hartu i zamiłowania do trudu i życia obozowego, a nadewszystko w Harcerstwie odnaleźli przedmiot swych tęsknot i umiłowań.

Dnia 28 wizytował Zlot druch p. o Komendanta Chorągwi K. Bujakowski z sekretarzem Chorągwi dr. St. Kopańskim. Zlot zostawił po sobie moc przyjemnych wrażeń na uczestnikach i mieszkańców Herbów Polskich.

29 czerwca o godzinie 5½ wieczorem drużyny, pożegnane przez dha Oboźnego Opałkę, odśpiewały Rotę i ruszyły do Częstochowy.

Czuwajcie!

Dudek — Alarmista.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Dh. J. Rajski, Łódź. Za artykuł dziękujemy — myśl doskonała, ale ubierzcie ją w prostsze słowa. Po co wymyślać odrazu od „czaszek pełnych wody i sieczki". Dobrze? Rękopisów nie zwracamy. Czuwaj.

Dh. P. z Dąbrowy Górniczej. „Wielka Podróż" wymaga gruntownej naprawy. Jest to pierwsza wasza próba literacka tych rozmiarów? Wydrukujemy ją, o ile poprosicie nas o poprawienie. Musimy wam jedną rzecz powiedzieć: Jesteście pierwszym harcerzem, który pyta się „Harcerza"; ile mu zapłaci. Jesteście też wśród naszych przyjaciół, jednym z nielicznych na szczęście, który jeszcze pisać ortograficznie nie umie. Popracujcie naprzód nad swą pisownią, a potem dopiero, gdy ją znakomicie opanujecie, będziecie mieli prawo myśleć o honorarjum. Ale „Harcerz" wam go nie zapłaci; bo nie płaci innym, którzy lepiej od was piszą. Czekamy listu i życzymy wam serdecznie: Zabierzcie się do roboty nad pisownią. O ile systematycznie popracujecie 3 — 4 miesiące, opanujcie ją całkowicie, czego wam z całego serca życzymy.

Dh. B. A. C. A. Kraków. Serdecznie dziękujemy za wasze miłe słowa. W pracy waszej będziecie mieli w nas szczerych przyjaciół. Na następny numer zachowaliśmy pieśni — o ile nuty zrobi nam kliszarnia. W każdym razie prosimy o ciąg dalszy. Czuwaj!

W y d a w c a: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor *J. Uhma*
Druk „WSPÓŁCZESNA", Warszawa, Szpitalna 10, tel. 193-95.